



ANGELIKA KOŁODZIEJ

# KISSES OF DARKNESS

KINGS OF DARKNESS #3





ANGELIKA KOŁODZIEJ

KISSES  
OF  
DARKNESS

KINGS OF DARKNESS #3

Copyright © for the text by Angelika Kołodziej  
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2024  
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Alicja Chybińska  
Korekta: Karina Przybylik, Natalia Szoppa, Martyna Janc  
Skład i łamanie: Paulina Romanek  
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 9978-83-8362-825-7 Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2024  
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 [www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)  
✉ [niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl](mailto:niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl)  
📘 Wydawnictwo NieZwykłe  
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)  
✂ [Wyd\\_Niezwykle](#)  
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

*Dla wszystkich grupowych „śmieszków”, którzy za zamkniętymi  
drzwiami przeżywają swoją osobistą wersję piekła.*

# OSTRZEŻENIE

Drogi Czytelniku,

*Kisses of Darkness* jest trzecią częścią serii „Kings of Darkness”, opowiadającą o losach Eliasa. Można ją czytać bez znajomości poprzednich książek, ponieważ dotyczy innej pary, aczkolwiek jeśli nie chcesz natknąć się na spoilery historii Laurette i Astona, zalecam przed lekturą tej książki sięgnięcie po *Secrets of Darkness* oraz *Tears of Darkness*.

Historia Eliasa i Rosalie zamyka się w tym tomie.

**Poniższe ostrzeżenie zawiera spoilery dotyczące treści.**

*Kisses of Darkness* jest znacznie mniej mroczną książką od poprzednich w serii, natomiast porusza kilka trudnych tematów, które dla niektórych mogą być drażliwe: przemoc, myśli samobójcze, próba samobójcza, stany depresyjne, nadużywanie substancji psychoaktywnych.

Jako autorka nie pochwalam zachowań przedstawionych w tej opowieści – są jedynie fikcją literacką, wytworem mojej wyobraźni, a nie czymś, co powinno się naśladować.

**Czytasz na własną odpowiedzialność.**

## WSTĘP

Pewien chłopiec tak bardzo bał się żyć, że stworzył sobie iluzję egzystencji i pod maską mroku udawał, że tak właściwie to czuje się całkiem nieźle.

Że wcale nie cierpi.

Że wcale się nie rozlatuje.

Że światełko w jego sercu wcale nie gaśnie.

Pielegnował otaczającą go ciemność tak okrutnie pewny, że nie czeka go nic lepszego.

Aż to zauważył.

Promień światła.

Tak nachalny, że nawet zmarły nie mógłby go zignorować.

Uniósł wzrok.

Zobaczył nadzieję.

Wyciągnął w jej stronę dłoń.

I się sparzył.







## PROLOG

*„Jesteśmy bielą i czernią, światłem i ciemnością, koszmarem, przed którym należy uciekać, i pięknym snem, w którym można się schronić, wszystko jest przeciwieństwem wszystkiego, jest dobrem i złem. Ale dobro nie obejmuje zła, nie bierze go w ramiona, a zło nie głaszcze dobra po plecach czarnymi skrzydłami”.*

Dorotea de Spirito, *Anioł*

Elias wbiegł do kuchni przez otwarte na oścież drzwi tarasowe, brudząc błotem z butów świeżo wypastowane kafelki. Miał policzki zaróżowione z wysiłku, na jego ustach migotał promienny uśmiech, a po plecach spływał mu pot. Oparł jedną dłoń o ścianę i próbował unormować świszczący w płucach oddech. Odgarnął mokre kosmyki splątanych włosów z czoła i zerknął na swoją mamę, siedzącą przy kuchennej wyspie i pijącą ulubioną zieloną

herbatę. Zapach naparu wypełniał każdy zakamarek przestronnej kuchni.

– Mamo! – wydusił podekscytowany, zrzucając kurtkę chaotycznymi, niedbałymi ruchami.

Odnosił wrażenie, że zaraz się udusi, tak bardzo było mu gorąco. Nic dziwnego, w końcu miał za sobą kilka – trzy czy może cztery – kilometrów sprintu.

Dopiero wówczas Ellery Brindley, ta niesamowicie elegancka kobieta o pięknych orzechowych oczach, zwróciła uwagę na syna. Jej spojrzenie pomknęło po roztrzepanych włosach w kolorze ciemnego blond, zaróżowionych końcówkach uszu, aż zatrzymało się na butach.

Butach ubabranych błotem, szpecącym teraz podłogę wielkimi ciemnymi plackami.

Zacisnęła usta w wyrazie dezaprobaty, karcąc Eliasza najsurowszym wzrokiem.

– Pani Montgomery dopiero tu sprzątała – zwróciła mu uwagę chłodnym bezosobowym tonem.

Elias wcale się tym jednak nie przejął. Co dziewięciolatka mogła obchodzić jakaś głupia podłoga, kiedy przepełniała go ekscytacja w związku z wygraną? Od kilku tygodni wymykał się na pobliskie boisko, żeby pograć ze starszymi chłopakami w koszykówkę. Zawsze z nimi przegrywał. Do tej pory nie udało mu się choć raz trafić piłką do kosza.

Aż do dziś. Dziś ich ograł. I był z siebie bardzo, bardzo dumny.

– Mamooo – jęknął sfrustrowany, gdy kobieta ponownie skupiła spojrzenie na czymś, co wyświetlał ekran jej laptopa. Chciał tylko, by poświęciła mu minutkę czy dwie.

Czy naprawdę wymagał tak wiele?

– Lepiej to posprzątaj. Natychmiast – burknęła.

Złość i smutek skumulowały się w piersi Eliasza. Mama nawet nie dała mu dojść do słowa.

Zawsze to robiła.

Zawsze zwracała uwagę na jego wady, nie zalety. Karciała za porażki, ale nigdy nie chwaliła za sukcesy.

To nie zdołało przyćmić w nim nadziei. Miał jej tak wiele. Naprawdę wiele tej naiwnej dziecięcej nadziei.

W pośpiechu ściągnął brudne buty i pobiegł do schowka, gdzie znalazł wiadro z wodą oraz starą, zużytą już ścierkę. Jej przykry zapach załaskotał go w nozdrza. Mimo to niezrażony chłopiec chwycił ją w dłoń, namoczył w wodzie wymieszanej z cytrusowym płynem do podłóg i wrócił do kuchni.

To nie pierwszy raz, gdy musiał po sobie sprzątać. Często broił i robił bałagan, a pani Montgomery – ich pomoc domowa – naprawdę go z tego powodu nie znosiła.

Kłęcząc tak na kafelkach, ponownie zadarł podbródek, by zerknąć na mamę.

Ciemne włosy spięte miała na czubku głowy w przylizany kucyk, a jej opalona skóra kontrastowała z jaskrawoczerwonym kolorem damskiego garnituru. Wszystko w niej wydawało się takie... idealne. Schludne. Wręcz odpychająco perfekcyjne.

Była doprawdy piękną i uwielbianą przez wszystkich kobietą, ale nigdy tak naprawdę nie chciała mieć dziecka. Marzyła o wielkiej karierze i ogólnoświatowej sławie. Potem na świat przyszedł Elias i nie potrafiła poradzić sobie w tej nowej, nigdy nieplanowanej roli – w roli matki.

Chłopiec wyszczerzył się do niej i zrobiwszy głęboki wdech, powiedział wreszcie:

– Wygrałem dziś mecz.

Ellery pozostała obojętna na słowa syna.

Przyjął to na spokojnie. Nie lubił się z nią kłócić i zawracać jej głowy. Babcia mówiła mu przecież tyle razy, że jego mamusia jest bardzo zapracowana, zestresowana i zmęczona, więc musi być wobec niej wyrozumiały.

I naprawdę taki był. Cóż, przez jakiś czas.

Młody Brindley, zapewne jak wiele innych dzieci, co chwilę znajdował sobie nowe hobby. Raz padło na koszykówkę, niedługo później łapał ślimaki do wiaderka i urządzał im wyścigi, potem przyszedł czas na kilkutygodniową fazę na szkicowanie.

Łapał się tak właściwie wszystkiego, do czego tylko miał dostęp, a wychowywanie się w obrzydliwie bogatej rodzinie dawało mu wiele możliwości. Nigdy nie potrafił jednak zostać przy czymś na dłużej, zbyt szybko się nudził.

I nawet jeśli mama nigdy go nie słuchała, on i tak za każdym razem chwalił się jej odniesionymi sukcesami.

– Mamo, robiłem ten rysunek chyba cały dzień – powiedział jej pewnego razu. – I wyszedł tak ładnie, prawda?

– A odrobiłeś już lekcje? – Właśnie to usłyszał w odpowiedzi.

Innego dnia przyszedł z wieściami, które sądził, że ją zadowolą:

– Miałem najlepszy wynik w klasie z tego sprawdzianu z angielskiego!

– Ale z matematyki to ci akurat poszło bardzo, bardzo słabo – odparła wtedy.

Całe dzieciństwo Eliasa polegało na próbach zwrócenia na siebie uwagi. Łaknął tego zainteresowania bardziej niż cegokolwiek innego, chciał choć przez chwilę poczuć, że jest częścią tej rodziny i że ma jakieś wsparcie w bliskich.

Z biegiem czasu jednak zrozumiał, że wieczne dogadzanie rodzicom i ślepe podążanie za ich wymogami nic mu nie dadzą. Zawsze pozostawaliby bowiem z czegoś niezadowoleni.

Wreszcie przestał się starać. Rodzice tak często mówili mu, jak beznadziejny, nieporadny i leniwy jest, że w pewnym momencie po prostu wziął sobie te słowa do serca i naprawdę w nie uwierzył. W końcu to jego rodzice – znali go lepiej niż ktokolwiek inny, więc skoro określali go w taki sposób, to znaczyło, że mieli rację... A przynajmniej tak właśnie sądził.

W młodym wieku wpadł w sidła imprez, używek, przelotnych romansów, sprawiania problemów, pyskowania i nonszalanckiej postawy, dzięki czemu wszyscy sądzili, że Elias wszystko i wszystkich ma gdzieś.

Gdy jako trzynastolatek pierwszy raz w życiu wrócił do domu pijany, matka wisiała nad nim przez okrągły tydzień, powtarzając raz za razem, że się stacza i że niczego nie osiągnie.

A on po prostu się cieszył, że wreszcie zaczęła zwracać na niego uwagę. Poczł się z tego faktu tak zadowolony, że gdy tylko minął mu czas szlabanu i w końcu mógł spotkać się z najlepszymi przyjaciółmi – Astonem i Cassianem – opowiedział im o tym zajściu z niepohamowaną radością.

Tak właśnie odnalazł sposób, by wszystkie oczy zawsze pozostawały skierowane w jego stronę. Uwielbiał znajdować się w centrum uwagi. Uwielbiał, gdy ludzie zabiegali o jego względy.

Uwielbiał, gdy mama krzyczała na niego przez wiele godzin. Ale to musiało być tak cholernie męczące, prawda?

To wieczne udawanie, że ma się wszystko pod kontrolą.

Że wcale nie żyjemy w strachu, że pewnego dnia wszyscy o nas zapomną i zostaniemy sami.

To uparte utrzymywanie uśmiechu na twarzy, gdy od środka dusi nas rozpaczliwy ból.

Powstrzymywanie łez, bo ktoś kiedyś wmówił nam, że są oznaką słabości, a słabość to najgorsza cecha, jaką może wykazać się człowiek.

To żartowanie ze wszystkiego i wszystkich, byle nikt się nie domyślił, że coś jest nie tak.

Tak, zdecydowanie Elias Brindley czuł się tym już szalenie zmęczony. A mimo to nie przestawał. Nie widział już dla siebie innej drogi. Nauczył się funkcjonować w ten sposób.

Dał się pochłonać przez ciemność. W całości.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### KŁOPOTLIWE ZAPALNICZKI

#### ELIAS

– Co za jebane gówno – wymamrotałem gniewnie pod nosem, gdy po raz kolejny zapalniczka wysunęła mi się z rąk i wylądowała obok mojego buta na ziemi. To prawdziwy cud, że jeszcze się nie roztrzaskała.

Dłonie strasznie mi się trzęsły. Chłód nocy kąsał moją skórę i... Cóż, porządnie się naprułem.

I to serio porządnie. Dawno nie wlałem w siebie tyle alkoholu. Trochę mnie poniosło. Troszeczkę. Tak serio odrobinę.

Zżerała mnie też złość, bo naprawdę potrzebowałem zapalić blanta, a ta popierdolona zapalniczka nie chciała ze mną współpracować. Że też akurat dzisiaj postanowiła zagrać mi na nerwach.

No dobra, winę ponosiła moja pijana dupa, a nie żaden przedmiot. Przecież nie miał takich umiejętności, by nagle odpalić się bez mojej pomocy. Ale zawsze łatwiej jest zwalić winę na kogoś innego, nie?

Z głębokim westchnieniem kucnąłem po raz kolejny, modląc się w duchu, aby nie upaść. Sęk w tym, że mięśnie już dawno odmówiły mi posłuszeństwa, stały się słabe i jak z waty, więc gdy pochylałem się po ten niesamowicie mi potrzebny kawałek żelastwa, upadłem. Dosłownie zderzyłem się pośladkami z chodnikiem, jakbym wcale nie wyglądał już wystarczająco żałośnie.

Z ust uciekł mi skowyt bólu, ale przynajmniej teraz mogłem złapać zapalniczkę i nawet jeśli wciąż mi wypadła, to pozostawała jednocześnie w zasięgu mojej ręki.

Może to jednak dobrze, że upadłem? No dobra, pewnie na pośladku pojawi mi się siniak wielkości piłki golfowej, a to niezbyt atrakcyjny widok, ale no... Jest jak jest.

Po kilku kolejnych próbach, kiedy słyszałem jakieś pełne poruszenia szepty niedaleko, udało mi się odpalić blanta. Nie dbałem o to, że palę coś nielegalnego w samym centrum pierdolonego Londynu. Szczerze mówiąc, nie pomyślałem o tym nawet przez sekundę.

Co będzie, to będzie. Nie można mieć wpływu na wszystko, do cholery.

Posiedziałem tak na krawężniku jeszcze przez chwilę, bo musiałem odzyskać ostrość widzenia. Światła znajdującego się naprzeciwko baru zlewały mi się w jedno. Właśnie to okazało się wyznacznikiem mojego stanu. Kiedy zdołałem już rozróżnić poszczególne kształty, oznaczało to tylko tyle, że się ogarniam i że marihuana zaczyna działać.

Niektórych mogła zamulać, ale mnie pobudzała. Zawsze. Stanowiła mój ratunek na wszystko. Cóż, do jakiegoś tam momentu. Po początkowej fazie i tak zawsze przychodził etap zmęczenia i zazwyczaj właśnie wtedy kończyłem imprezę.

Potrzebowałem tylko jakichś kilkunastu minut. Może kilkadziesiątu, jeśli dalej przyjdzie mi wypierdalać się na glebę, ale to szczegół. Pierwsza faza trwała mniej więcej godzinę, więc po prostu musiałem zmieścić się w tym czasie, bo tak się składa, że moje płuca domagały się nikotyny.

Wróć. Cholerne płuca wręcz o nią błagały. Tylko dlatego w ogóle opuściłem imprezę. Pewnie mógłbym pożyczyć fajki od kogoś ze znajomych, ale chyba potrzebowałem chwili samotności. Nikomu bym się do tego nie przyznał, ale kolejny wieczór spędzony na domówce wpędzał mnie w paskudny nastrój.

Niezgrabnymi ruchami udało mi się podnieść z ziemi i jako tako ustawić do pionu. Przez cały ten czas trzymałem blanta mocno ściśniętego między zębami, a odrobina popiołu spadła mi na dłoń. Tyle dobrze, że nawet nie zabołało. Został czerwony ślad charakterystyczny dla poparzenia, ale nic nie poczułem.

Zignorowałem kilka ciekawskich, a nawet zmartwionych, spojrzeń i ruszyłem przed siebie. Monopolowy powinien znajdować się niedaleko. Przydałoby mi się jeszcze piwo na drogę, bo zaczynało mi zasychać w gardle.

Gdybym miał wymienić minusy palenia marihuany, na pierwszym miejscu postawiłbym właśnie tę suchość. Gdy paliłem, zawsze chciało mi się pić. To dość frustrujące.

Mijałem kolejno szyldy restauracji i barów, aż do głowy wpadła mi myśl, by wstąpić do jednego z nich. Już łapałem za klamkę, kiedy sobie przypomniałem, że przyjaciele czekali na mnie na imprezie. Pierwszej w tym roku akademickim.

No właśnie. Był też drugi minus. Upalony trochę pieprzyłem fakty i wiele mi umykało. Ale to drobiazg.



Blanta spaliłem gdzieś w połowie drogi. Przydeptałem go butem, a potem wyrzuciłem do śmietnika, bo nawet jeśli wyglądałem teraz na totalnego niechluję, to nauczono mnie, by dbać o porządek, zwłaszcza w przestrzeni publicznej. Syfić mogłem u siebie, ale wkurzali mnie ludzie zostawiający po sobie śmieci gdzie tylko popadnie, jakby byli jakimiś pierdolonymi gwiazdeczkami.

Wreszcie na horyzoncie pojawił się mój upragniony cel. Sklep monopolowy. Zwycięstwo.

Chwyliłem za metalową klamkę i pociągnąłem mocno, prawie się przy tym wywracając. Okej, moja równowaga w tamtym momencie też nie należała do wybitnych.

No trudno.

Ciągnąłem za nią i ciągnąłem, ale drzwi nie chciały ustąpić. Spojrzałem na szybę, by się upewnić, że sklep jest otwarty – nawet jeśli widziałem, że w środku kręcą się ludzie.

No ale był, kurwa, otwarty, więc...

– Trzeba popchnąć. – Usłyszałem za plecami na wpeł rozba-wiony głos.

Obróciłem głowę i zmierzyłem nieprzytomnym wzrokiem jakiegoś brodatego gościa, który też chciał wejść do środka.

– Dzięki – wymamrotałem.

Następnie pchnąłem drzwi i wreszcie znalazłem się w ogrzewanym pomieszczeniu, gdzie roilo się od ludzi wyglądających znacznie gorzej ode mnie.

Odór spoconych ciał i taniego alkoholu aż mną wstrząsnął. Jezu, czy niektórzy nie potrafią używać mydła? Myślałem, że się zrzygam, gdy podszedłem do kasy i się zorientowałem, że ta przerażająco-odpychająca woń ciągnie się za ekspedientem, a nie klientami sklepu.

Jedno spojrzenie w jego oczy zdradziło mi, że do trzeźwości to mu daleko.

– Poproszę złote marlboro – rzuciłem, opierając dłoń o dziwnie klejącą się ladę.

Chłopak patrzył na mnie co najmniej tak, jakby wyrosła mi druga głowa.

– Koleś, wiesz, że jesteś w pracy? – zadrwiłem. – Może faza cię trochę poniosła i nie za wiele ogarniasz, ale właśnie musisz obsłużyć klienta.

– Co podać? – zapytał machinalnie, puszczając moje poprzednie słowa w niepamięć.

– Przeniosłem się do przyszłości? Jesteś jakimś półrobotem?

– Co? – wykrztusił spanikowany. Twarz miał całą spoconą i chyba wziął moją zaczepkę trochę zbyt poważnie.

– Szybciej tam, piwo mi się grzeje! – zawołał ktoś z drugiego końca kolejki.

– Przytkaj się, próbuję kupić fajki – odburknąłem, ponownie przenosząc spojrzenie na ekspedienta.

Na nic się to jednak nie zdało. Koleś nawet nie wiedział, że żyje. No, nie dosłownie, ale tak się właśnie zachowywał – jakby jego umysł wyeksmitował na inną orbitę.

Omiotłem wzrokiem wnętrze sklepu w poszukiwaniu kamer, a gdy ich nie znalazłem, po prostu wszedłem za ladę, wyciągnąłem sobie paczkę fajek z półki, rzuciłem przelotem kilka banknotów na blat i ogłosiłem:

– Miłej nocy, panowie!

Usatysfakcjonowany wymknąłem się na zewnątrz i od razu wsunąłem fajkę między wargi. Potem chwyciłem za zapalniczkę, przeklinając ją w myślach, bo zanim udało mi się odpalić papierosa, spadła mi kilka razy i cała sytuacja sprzed kilkunastu minut się powtórzyła.

Najwidoczniej ten wieczór miałem spędzić na chodniku. Dobre i to.

Zaciągnąłem się szczypiącym dymem i rozkoszowałem uczuciem wypełnionych płuc. To naprawdę okropny nałóg,

wolałbym się go pozbyć, ale po alkoholu zawsze mi odpierdało, a pragnienie, by posilić się nikotyną, zdawało się wówczas szczególnie uprzykrzające.

Siedząc tak po raz kolejny tego wieczoru na brudnym chodniku, poświęciłem kilka minut na podziwianie otoczenia. Ostatnie ślady lata zdążyły już opuścić ulice Londynu, a na ich miejsce przyszły chłodne noce, porywiste wiatry i żółknące na drzewach liście. Niebo skrywało się za gęstymi chmurami, przysłaniającymi wszystkie gwiazdy.

Nie lubiłem jesieni. Była do dupy. Może te kilka pierwszych tygodni rzeczywiście miało jakiś tam swój urok, ale później wszystko sprowadzało się do opadów niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, błota, kałuż i tego wgrzającego się w kości mrozu.

Jak mówiłem – do dupy.

Taka ponura pogoda sprawiała, że robiłem się senny. Dokładnie tak jak teraz.

Cholerka. Zmęczenie nie było w tym momencie moim sprzymierzeńcem. Musiałem pokonać drogę powrotną na imprezę, gdzie czekali na mnie Aston i Ettie. Zabiją mnie, jeśli zacznę to przeciągać, bo to ja zmusiłem ich do wyjścia z domu.

Znając życie, Laurette skopałaby mi tyłek. I to tak dosłownie. Ta laska bywała bezwzględna, ale i tak uwielbiałem ją na jakiś popieprzony sposób. To troszkę jak młodsza, wkurzająca siostrzyczka, mimo że byliśmy przecież w tym samym wieku.

Westchnąłem z udręką, gasząc peta o asfalt. Gdy podnosiłem się do pionu – trochę mi to zajęło, swoją drogą – skupiłem spojrzenie na znajdującym się po mojej prawej budynku.

*Biblioteka akademicka.*

Właśnie wtedy dotarło do mnie, że powinienem tam zajść. Może nie teraz i nie w tym stanie, ale naprawdę potrzebowałem wypożyczyć jakieś podręczniki na poniedziałkowe zajęcia. I tak ledwo ogarniałem, o co chodzi tym wszystkim wykładowcom.

Ostatnio pieprzyli bez końca o genetyce, rzucając na prawo i lewo zagadnieniami, od których bolała mnie głowa.

Być może pójście na medycynę to był błąd. W końcu nigdy nie myślałem o tym na poważnie. Wybrałem ten kierunek trochę dla jaj i trochę po to, by pokazać innym, że potrafię się przyłożyć.

Tyle że serio nie potrafiłem. A raczej zwyczajnie mi się nie chciało.

*Podręczniki. Naprawdę są mi piekielnie potrzebne.*

Szybko przeanalizowałem w myślach, na jak wielkiego idiotę bym wyszedł, wkraczając tam o tej porze, w dodatku narąbany. W innych okolicznościach pewnie doszedłbym do wniosku, że to bardzo, bardzo zły pomysł i lepiej wrócić tu na trzeźwo, ale teraz... Pewnie było tam ciepło. I tak milusio. Biblioteki mają swój urok.

*Dobra, co mi szkodzi.*

W notatniku w telefonie miałem zapisaną listę potrzebnych tytułów, więc powinno pójść sprawnie. Na pewno jakaś przeziębiona bibliotekarka pomoże mi znaleźć odpowiednie podręczniki.

Podeksytowany nowym wyzwaniem, ruszyłem w stronę ceglanego budynku, z którego okien sączyło się ciepłe światło. Jedyną przeszkodą na mojej drodze stanowiły schody – dziesięć stopni dzieliło mnie od drewnianych drzwi. Dokładnie dziesięć. Policzyłem.

*Dawaj, Elias, to nic takiego. Dasz radę. Nie takie rzeczy robiłeś.*

Przytrzymałem się stalowej balustrady, ignorując zalegający na niej brud, a potem zacząłem się wspinać. Pewnie wyglądało to bardziej na czołganie, ale nieszczęśliwie mnie to interesowało. Mój pijany mózg wkręcił sobie tę akcję i teraz nie zamierzałem się wycofywać.

Zresztą nieważne jest to, jak żałośnie wyglądałem, bo finalnie przecież i tak udało mi się dotrzeć pod drzwi. Byłem z siebie nawet troszkę dumny. W moim przypadku takie małe sukcesy oznaczały coś wielkiego, bo rzadko cokolwiek mi wychodziło.

Z uśmiechem na ustach chwyciłem za klamkę i zaraz znalazłem się w przytulnej sali, wypełnionej ciszą i zapachem starych książek. Jezu, jak cudownie. Kochałem biblioteki. Czuję się w nich świetnie.

Choć pewnie większość ludzi postrzegała mnie jako skończonego idiotę i nieuka, to tak naprawdę do bibliotek zaglądałem całkiem często. Lubiłem czytać. Odnajdywałem w tym jakiś rodzaj spokoju.

Spojrzałem na biurko – za nim powinna siedzieć bibliotekarka, ale jej tam nie zastałem. Może wyszła na zaplecze, żeby zrobić sobie coś ciepłego do picia. Ciekawe, czy gdybym ją poprosił, to machnęłaby mi herbatkę. Chyba bym ją wycałował z wdzięczności, bo miałem na sobie tylko bluzę, a noc nie należała do ciepłych.

Mimo to na razie odsunąłem na bok marzenia o gorącym napoju i ruszyłem między regały, gdzie zacząłem szukać tego, po co tu przyszedłem. Przesuwałem palcami po zakurzonych grzbietach i wdychałem ten cudowny zapach starych kartek. Przy oknach paliły się świece o zapachu dyni i ta mieszanka zrobiła coś niewiarygodnego z moim mózgiem.

Zrobiło mi się ciepło i przyjemnie.

Tak przytulnie i miłutko...

Dopała mnie senność. Wiem, że nie powinienem jej ulegać, bo to źle wróżyło, ale okazała się nie do przegonienia. Powieki mi się kleiły, a głowa leciała do przodu.

*Okej, to nic takiego. Po prostu usiądę tu sobie na chwilę...*

Wybrałem pierwszy lepszy okrągły stół przysłonięty wysokimi aż po sufit regałami. Przysunąłem sobie krzesło, a podbródek oparłem na pięści i zamknąłem oczy. Wmawiałem sobie, że potrzebuję tylko chwili odpoczynku i zaraz odzyskam energię.

Cóż, los postanowił zrobić mi jednak na złość i szybko odleciałem.